Nr. 25 Poznań, dnia 9 grudnia 1917. Rok IX.

GAZETA DLA KOBIET

Dwutygodnik poświęcony sprawom kobiet pracujących.

Organ »Związku Stowarzyszeń Katolickich Kobiet Pracujących« z siedzibą w Poznaniu.

Wychodzi co dwa tygodnie na niedzielę. Zamówienia przysyłać należy do Ekspedycyi: Poznań — św. Marcin 69. — Abonament na poczcie 50 fen. kwartalnie. — Adres Redakcyi: Poznań — św. Marcin 69. Numer telefonu 2082.

REDAKTOR: Ks. Józef Schulz.

Ogłoszenia: jednołamowy wiersz petytowy 25 fen. Ogłoszenia stowarzyszeń w części inseratowej na ostatniej stronie wiersz 10 fen. — Ogłoszenia przyjmuje Ekspedycya Poznań — św. Marcin 69. Numer telefonu 2082.

Uwagi przed walnemi zebraniami.

Walne zebranie się zbliża a równocześnie czeka członków zarządu, mianowicie patrona i sekretarkę wiele, bardzo wiele pracy. Przy końcu roku kmiotek i wyrobnik przebiega myślą rok długi swej szarej pracy i zestawia korzyści ze stratami i pyta się, czy pracował ze zyskiem czy stratą, postanawia na następny rok podwoić swoją pracę, ograniczyć wydatek. Przy końcu roku gospodarz i pierwszy pracownik w towarzyskiej pracy uprzytomnić sobie musi i innym szczerą zdać sprawę z tego, czy praca w towarzystwie przyniosła pożądane owoce i korzyści członkom, społeczeństwu, czy też okazała się bezowocną, musi w danym razie przekonać się co lub kto był powodem tej bezowocności wysiłków i trudów i zrobić odpowiednie postanowienie i zarządzić pewne zmiany na dalszy rok pracy, chcąc, żeby towarzystwo nie okazało się zbytecznem, nie rozpadło się. Sprawozdanie zarządu na walnem zebraniu powinno członków zdrowego towarzystwa przekonać, że towarzystwo i jego praca zbawienna jest dobrodziejstwem i potrzebą dla stowarzyszonych i innych. Tymczasem na wielu walnych zebraniach słyszą uczestnicy cały szereg dat, liczb, statystyk, dowiedzą się, że odbył się cały szereg zebrań, że na nich wygłoszono liczne piękne i pouczające odczyty z rozmaitych dziedzin, których bez dyskusyi wysłuchano, że jest biblioteczka, z której się wypożycza książki, że urządzano teatry, obchody, rekolekcye, nawet kursy i dziwią się, gdy w końcu usłyszą nawet skargi zarządu, że członkowie mimo to nie płacą składek a towarzystwo niknie. Uczestnicy wychodzą często z walnego zebrania, nie wiedząc czemu towarzystwo upada, czemu prace zarządu często bezowocne ,czemu walne zebranie nie przekonało ich o potrzebie bytu towarzystwa. Skąd to pochodzi? Stąd, że sobie i innym nie zdajemy jasno sprawy, jaki cel i zadanie ma nasze towarzystwo i często na zebraniach a przedewszystkiem walnych nie pytamy się, czy towarzystwo w tym roku ten cel osięgło albo chociaż doń się zbliżyło lub nie. Więc często na zebraniach, a przedewszystkiem zawsze na walnem zebraniu trzeba na czele obrad jasno przypomnieć i wskazać, że cel, do którego dąży towarzystwo nasze, jak wskazuje § 2 ustaw — to prawda, łaska i chleb, że innemi słowy towarzystwo chce swoich członków oświecać, uświęcać i im byt ziemski ulepszyć. O ile sprawozdawca walne zebranie przekona, że towarzystwo ten cel trojaki członkom przybliża, uprzystępnia, o tyle okaże się, że towarzystwo jest dobrze prowadzonem i żywotnem i rozpaść się nie może. Więc sprawozdawca, rozwodząc się nad praca zarządu około towarzystwa, nie powinien tylko opowiadać jakich środków (porównaj § 3 ustaw) używano w ubiegłym roku, żeby towarzystwo oświecić i uświęcić, lecz raczej niech stwierdzi, czy towarzystwo używało środków tak, że one naprawdę zbliżyły i zbliżyć musiały członków do celów wyżej wzmiankowanych. Więc przy wykładach niechaj powie referent, czy one zainteresowały, wywołały wymianę zdań, p o b u d z i ł y słuchaczki do zastosowania usłyszanych rad w swojem życiu. Może więc wykład o ogrodnictwie i kwiatach pobudził pracę dziewcząt do założenia ogródka małego koło domu, inny o chorobach i pielęgnarstwie stał się powodem wyzdrowienia lub poświęcenia się dla chorych. Niechaj podkreśli sprawozdawca, że przez wspólne komunie św., rekolekcye, wykłady treści moralno-religijnej podniosły towarzystwo, wartość dziewcząt lub mężatek pracujących wobec Boga i ludzi, zachęciły je bowiem do pracy i do poświęceń, uszlachetniły i uświęciły kobietę przy pracy, na ulicy, w domu, zahartowały w nieszczęściu, zrównoważyły w dobrobycie. Niechaj wskaże jako na owoce pracy w towarzystwie, na schludność i czystość domów, sprzętów w domu gospodarskim, na przykłady przez towarzystwo wyuczonych kucharek, książkowych, szwaczek, na dobre stosunki między pracodawcami wioski a kob. pracującymi, a przekona i uspokoi zarząd, że dobrze spełniał zadanie sobie powierzone, utwierdzi zgromadzonych na walnem zebraniu, że warto do towarzystwa należeć, dla towarzystwa poświęcać się i agitować, bo pracując w towarzystwie pracujemy dla siebie, dla Boga i kraju.

Niedzielne poobiedzie.

Z za czarnych chmur błysnęło słońce, gość rzadki o tej porze.

Jak gdyby z tym jasnym promykiem nowe życie wstąpiło w ludzi; na ulicy się zaroiło. Do drzwi

mieszkania Stasi zapukała jej nowa przyjaciółka i towarzyszka pracy, Kostusia.

— Stasiu, tak ładnie na dworze, może wybierzesz się ze mną na przechadzkę?

— Mamo, czy mama pozwoli mi wyjść z domu, — pyta Stasia przymilnie, schylając się do ręki matki.

Nie zaraz matka odpowiedziała skinieniem głowy, wpierw bacznie przyglądała się Kostusi.

Stasia skoczyła za szafy, pokój na dwie strony odgradzające i tam szybko ubierać się poczęła.

— Mamo, którą wziąć bluzkę, czy mogę ubrać się w białą?

— O, widzisz ledwie nowa, już byś ją zaraz niszczyć chciała! Nie, nie, ona musi zostać na wypadek jakichsiś ważniejszych okoliczności, granatowa aż nadto dobra, weź granatową!

— Dobrze, mamo!

— Pokażno, Stasiu, portmonetkę!.... Co to, brak trojaka, nacóżeś go to wydała?

— Nie pamiętam, proszę mamy.

— To bardzo źle! Z pieniędzmi trzeba się liczyć, bez pamięci nie strwonić ani fenyga.

Twarz Kostusi oblewa się purpurowym rumieńcem, przykro jej i nieprzyjemnie, że w jej obecności przyjaciółkę jej matka tak strofuje.

Wreszcie Stasia już ubrana, matka od stóp do głów mierzy ją bacznem spojrzeniem.

— Dokądże to pójdziecie?

— Za miasto kawałeczek, powietrza cokolwiek zaczerpnąć.

Stasia znowu do rąk matki się schyla.

— Jak długo mogę być, mamusiu, kiedy mam do domu powrócić?

— Najpóźniej za dwie godziny, — odpowiada matka, na zegar spoglądając.

Dziewczęta już są na ulicy.

— Uf, — z ulgą odetchnęła Kostusia, — nareszcie się wyrwałyśmy! Wiesz, Stasiu, żal mi ciebie, biednaś ty, ja bym takiej kontroli na każdym kroku nie zniosła. Udusiłabym się chyba, doprawdy, nie żartuję! Miałam wrażenie, że matka twoja jest sędzią śledczym, a ty obwinionym, badanym srogo! Uf! A to dopiero było ciężkie posiedzenie! Czy to u was zawsze tak bywa, czy tylko dziś wyjątkowo, co, Stasiu?

Stasia z pogodnym uśmiechem zwraca twarz ku swej przyjaciółce.

— U nas zawsze tak bywa — i ja to uważam za zupełnie naturalne, — przecież to matka moja, a ja jej córka. Któż ma mieć nad nią większe do mnie prawo?

— No, dobrze, przyznaję, ale przecież wszystko powinno mieć swoje granice, przecież powinnaś używać choć cośkolwiek wolności, a ja uważam, że ty jesteś kompletną niewolnicą! Ach, dziwię się tobie, dziwię, ja bym się tak zawojować nie dała. A ty czyż nigdy nie próbowałaś otrząsnąć się, chociaż cokolwiek?

Stasia spuściła głowę i mówi cicho:

— Czasem i w mojej duszy bunt się odzywa, zwłaszcza od czasu, gdym już wyrosła z lat dziewczęcych, ale mam przeciw niemu lekarstwo bardzo skuteczne. Raz, w chwili właśnie takiego rozgoryczenia wpadł mi w rękę wiersz jakiś stary. Przepisałam go i tak długo w chwilach buntu odczytywałam, aż go się nauczyłam na pamięć.

Marya Bogusławska.

Szczęście rodzinne.

(Dokończenie.)

— Odkąd jesteś w naszem mieście? — zapytał Franciszek krewnego.

— Od czterech miesięcy.

— Od czterech miesięcy?!... Jakże się to stało, żeśmy się nie spotkali dotychczas?

— To chyba dowód, żeś straszny domator. Ja bowiem codziennie, deszcz czy pogoda, wychodzę na półtorej godziny spaceru z moją gromadką, a w niedzielę całe popołudniu spędzamy za miastem.

— Ah, a ja nie byłem za miastem chyba z pięć lat!

— Czemu?

— Nie lubię włóczyć się.

— To bardzo źle; przecież masz żonę, dzieci, powinieneś dać im codzień użyć powietrza. Ale wy tu w Polsce nie macie pojęcia o hygienie. Gdzie przesiadujesz z babą i bachorami w piękne popołudnia? Może w knajpie?

Franciszek nie odpowiedział na to pytanie, tembardziej, że pani Czesławowa odezwała się jednocześnie.

— Bardzo jestem rada, że się zeszliśmy w jednem mieście; nie mamy tu jeszcze znajomych, a u państwa i ja znajdę towarzyszkę i moje dziewczynki prawie w jednym wieku z waszą córeczką.

— Moja żona wyjechała z dziećmi... chwilowo, — nieśmiało odrzekł Franciszek.

— Kiedy twojej niewiasty nie ma w domu, to zabieramy cię do nas bezpośrednio; w przeciwnym bowiem razie wprzód wstąpilibyśmy po twoją rodzinę.

— Dziękuję ci, Czesławie, zostawmy to na inny raz; jestem dziś jakiś niezdrów i pójdę już do siebie położyć się wcześniej.

— Nie zawracaj głowy! Jeszcze szóstej nie ma, chodź, kochany, rozgrzejesz się herbatą, opowiesz jak ci się powodzi, porównasz twoją babę z moją, twoje dzieci z mojemi. Oj, porównanie co do żon pewnie wypadnie na niekorzyść mojej, bo piekielnica, a twoją pamiętam taką dobrą, cichą, słodką, skłonną do poświęceń. Dotąd widzę te jej śliczne oczy, jak z zachwytem i uwielbieniem śledzą za tobą, jak wszystko uznają za doskonałe, co ty powiesz, co zrobisz. Oh, taką żonę to można jak wosk urobić.

Franciszek zmarszczył się.

— Sądzisz?... Brakowało jej inteligencyi...

— Raczej wykształcenia; ale to przy dobrej woli męża się dopełnia.

Czesławowie zajmowali ładne mieszkanko, złożone z dwóch pokoi i kuchni, dostatnio umeblowanych; znać było w niem dobrobyt, a w mieszkańcach zadowolenie i harmonię. Franciszek, który uskarżał się na ból głowy i dreszcze, posadzony został w wygodnym fotelu, okryty pledem i rad siedział w tym gościnnym domu, oderwany od ciężkich myśli, które dręczyły go cały dzień. Pomimo to po niecałej godzinie dźwignął się z wysiłkiem i rzekł słabym głosem:

— Ja doprawdy muszę odejść; kłóje mnie w piersiach i pod łopatką, mam zamęt w głowie — trzeba się położyć.

Pani Czesławowa ujęła go za rękę.

— Pozwól pan; mnie się zdaje, że pan ma silną gorączkę. Maryniu, podaj termometr.

Termometr rzeczywiście wskazał blizko 39 stopni.

Zeschłe liście szeleszczą pod stopami dziewcząt, a Stasia mówi głosem wzruszonym:

O ludzie, ludzie! Gdybyście wy czuli,
Jak wątłe życie tych, których kochacie,
Czybyście sami tyle chwil im truli,
Chwil, co tak mało do użycia macie?

Cóż, że dziś duma winę z siebie zwali,
Że serce ranie podobne świerzbiącej,
W łzach swych, lub cudzych, na gniew, co je pali,
Kosztuje ulgi, jad tylko jątrzącej?

Przyjdzie czas, przyjdzie, kiedy te powieki,
Co dziś dzień cały z żalu może płaczą,
Znużone łzami, zamkną się na wieki
I już twej późnej skruchy nie zobaczą.

Gdy te ramiona, co dziś nadaremnie
Wznoszą ku tobie uścisk pojednania,
Złożone na krzyż, ostygną wzajemnie,
Na łzy pokory i pocałowania.

Gdy to oblicze, co jak zorze ranne,
Światłem pociechy na twą duszę biło,
Na wieki oczom twoim odebrane,
Grabarze ciężką narzucą mogiłą...

Pomyśl nieszczęsny, gdy wrócisz do domu
I znajdziesz pustki okryte żałobą,
Co poczniesz wtedy, gdy nie będzie komu,
Ni cię pocieszyć, ni zapłakać z tobą?

Gdy wspomnisz miłość, coś miał, a odrzucił,
Gdy wspomnisz szczęście, coś mógł, a nie użył,
Chwile, coś zatruł, dni, coś może skrócił
I cierpiąc, będziesz czuł, iżeś zasłużył?

Próżno natenczas na kolanach skruchy
Przyzywać zechcesz kochanego ducha,
Ty, coś był w życiu na głos jego głuchy,
Śmiałżebyś mniemać, że on cię wysłucha?

I tak dzień po dniu, aż z rozpaczą wściekłą,
Sam zaczniesz na się wzywać pomsty Bożej,
Szczęśliwy jeszcze, gdy to ziemskie piekło
Wiecznej litości bramę ci otworzy.

Głos Stasi już przebrzmiał, skończyła i ucichła. Znowu liście szeleszczą pod stopami dziewcząt, lecz przygłusza ich szelest łkanie, wyrywające się z piersi Kostusi.

— Co ci to? — zwraca się do niej zaniepokojona szczerze Stasia.

— O Jezu, o Jezu! — łka dziewczyna. — A to chyba sam Pan Bóg tak zrządził, że się zapoznałyśmy i żeś mi ten wiersz powiedziała. W sam raz, jakby dla mnie napisany. Widzisz i ja mam matkę. Nigdy mnie ona nawet tak, jak twoja ciebie na pasku nie wodziła, a niechno choć słówko kiedy przeciwne pisnęła, oj, to umiałam ja jej się odcinać! Doszło do tego, że my dziś sobie prawie obce, nic nie mamy wspólnego, nic nas nie łączy. Widzę ja nieraz żal matki, jej łzy, ale niech tam, mnie z tem dobrze, więc milczę, choć wiem, że ona na serce cierpi, że chora. Ale dziś te twoje słowa... O Jezu, Jezu! Stasiu, nie wytrzymam, boję się, lękam śmierci matki. Chyba pójdę, uściskam, przeproszę. Co Stasiu? Czy ona mi przebaczy?

— Serce matki, dopókąd bić nie przestanie, pełne jest miłości i przebaczenia, — odpowiada Stasia, tuląc mocno dłoń skruszonej przyjaciółki.

P. W.

— No, widzicie państwo, że wobec tego trzeba iść.

— Przeciwnie, wobec tego zostaniesz u nas.

— Gdziebyśmy pana puścili tak chorego, wieczór przejmująco chłodny, mgła.

— Rozłożymy dla ciebie tę kanapę, przeistaczając ją w łóżko; żona kropnie ci ze czterdzieści baniek, ja morowy kompres, Marynia dwa proszki aspiryny. A jak jutro rano pomimo to nie będzie ci lepiej — poszlemy po doktora.

Mimo rozsądnych środków zastosowanych energicznie, Franciszkowi nie było lepiej nazajutrz, a lekarz zadecydował, że to zapalenie płuc. Chory rwał się do szpitala, nie chcąc sprawiać kłopotu krewnym, ale ci stanowczo sprzeciwiali się temu, chcieli tylko zaraz zawiadomić żonę o stanie męża, ale Franciszek tak żywo zaprotestował temu, że domyślili się jakiegoś cichego dramatu rodzinnego i przestali nalegać, usilnie zabiegając, aby chory i bez niej miał pieczołowitą opiekę.

A on, leżąc w gorączce czuł ciężki żal do żony; wmawiał w siebie, że ona jest przyczyną jego choroby, dobrowolnie starając się nie liczyć się z tem, że już przedwczoraj, uczuł przejmujące zimno i że od tej chwili kaszlał i kilkakrotnie czuł kłócie w piersiach. Zdenerwowany chorobą, płakał cichaczem po nocach, rozczulając się nad sobą, że po 18 latach małżeńskiego pożycia nie ma nikogo ze swoich przy swem łożu i że musi pod cudzym dachem korzystać z opieki dalekich krewnych, udzielających mu jej z łaski.

To znowu obserwował jaka zgoda, ład i harmonia panowały w tej rodzinie, jak Czesław wszystkie wieczory spędzał w domu, na wspólnych czytaniach i gawędkach, jak dzieci garnęły się do niego z zaufaniem i serdecznością. Zasługę tego wszystkiego przypisywał wyłącznie Czesławowej. Długo walczył z miłością własną, nie pozwalającą mu użalić się, nareszcie wybuchnął:

— Fioletowa zazdrość człowieka ogarnia, gdy się na was patrzy!

Cała rodzina, zebrana przy okrągłym stole pod wiszącą lampą, zwróciła się w stronę chorego.

— Czemu?

— Boście tacy szczęśliwi, dobraliście się jak w korcu maku; między wami chyba nigdy kłótni nie było!

— I były i bywają, ale godzimy się łatwo; a tak przy wspólnej wyrozumiałości żyć nie trudno.

— Jeszcze ty miałbyś być niewyrozumiałym, mając tak idealną żonę!

— Ja jędzą jestem! — zaśmiała się Czesławowa, — Teraz lepiej panuję nad sobą, bo wiem, jaką przykrość sprawiają Cześkowi moje wybuchy, ale ile razy w pierwszych latach ja zrobiłam awanturę bez żadnej racyi! Aż Czesiek mi zaproponował, że jak zacznę krzyczeć na niego, czy na dziecko, czy na sługę, on położy na gramofon płytę z popularną amerykańską piosenką — zaczynającą się od słów: „Czy wy znacie czarownicę?“ To mnie tak rozśmieszało, że potem już wystarczało, że mój chłopak zaczynał tylko to nucić.

— Powiadają, że najlepsze gospodynie bywają prędkie do gniewu i tu jeden z dowodów, aż miło patrzeć jaki u was porządek, czystość!

— To mała zasługa, gdy ma się służącą, oraz podrastające córki do pomocy.

I nagle zwróciła się z pytaniem:

— Wy, trzymaliście sługę?

— Nie, — trochę zaambarasowany odparł Franciszek.

— Wam umarło kilkoro dzieci?

Kilka słów o porządku.

Porządek jest zaletą, która powinna zdobić każdego człowieka. Niestety! jakże jednak często spotykamy się u ludzi nie z tą zaletą, lecz z przeciwstawiającemi jej się wadami: nieporządkiem, niedbalstwem. Przykrego doznaje się nieraz uczucia, gdy się wejdzie do mieszkania, gdzie pani domu jest nieporządna. Zaraz od pierwszego wejrzenia razi nas nieład i często zniechęca do osób, które nam się wydawały sympatycznemi, porządek bowiem stanowi poniekąd ozdobę każdego mieszkania, gdyż może ono być ubogie, a razić nas nie będzie, gdy jest schludne, czyste, gdy wszystkie rzeczy w niem na właściwem znajdują się miejscu.

A jakże się rzecz ma z człowiekiem, z jego zewnętrznym wyglądem? „Jak cię widzą, tak cię piszą" mówi przysłowie, a więc i z zewnętrznego wyglądu poznać można, czy dana osoba jest porządna lub zaniedbana w ubiorze. Można bowiem nosić ładne i dobre rzeczy, a mimo to nieporządny człowiek włoży je niedbale na siebie, tak że od razu poznać można z kim się ma do czynienia.

Porządek, jak już wyżej powiedziane, jest zaletą, która u wielu osób jest wrodzona, podczas gdy inni zdobywać ją muszą nieraz w mozolnej pracy nad sobą przez długie lata. Człowiekowi, który, że tak powiem, przyniósł ze sobą na świat pewne zamiłowanie i poczucie ładu, będzie naturalnie łatwiej utrzymać swe rzeczy w porządku jak temu, kto dopiero musi się tego ładu nauczyć. Nigdy jednak na tę naukę nie jest za późno i chociaż z trudem, przyswoić sobie można poczucie porządku.

Każdy początek jest trudny — a więc i zamiary nasze, aby wszystko wykonać porządnie, napotkają na niejedne trudności. Nie zrażajmy się jednak niemi i gdy spostrzeżemy się na wykroczeniu przeciwko porządkowi, starajmy się zaraz poprawić i wykonać w przyszłości lepiej powierzoną nam pracę. Zaczynajmy od dokładnego wykonywania wszelkich drobnostek, a z czasem tak nam to wejdzie w zwyczaj, że każdą czynność wykonamy porządnie, bo inaczej nie będziemy umieli.

Porządek i ład we wszystkiem co widzimy jest rzeczą bardzo miłą dla oka, a można tę przyjemność okupić niewielkim trudem i nakładem pracy. W domu, gdzie matka posiada zamiłowanie porządku, wszystko błyszczy i lśni od czystości, bo matka ta przyucza dzieci swe od najmłodszych lat do utrzymania porządku we wszystkiem. Dzieci, które mają tak dobry przykład w domu, bez trudu utrzymują swoje rzeczy, książki w porządku, nie rozrzucają niczego lecz przeciwnie są pomocą matce w utrzymaniu ogólnego ładu. Od matki zależy wiele, a więc jednym z głównych obowiązków matki jest ten, aby była sama porządną i dzieciom swym porządek wpajała. Od tego bowiem zależy nieraz przyszłe szczęście ludzi i ich powodzenie w świecie. Dziecko, które od młodości przyuczone do utrzymania ładu w swych rzeczach, będzie się i w przyszłości kierowało według powziętego porządku i planu.

A zatem we wszystkiem co wykonujemy niech będzie ład i porządek. Pamiętajmy o nim zawsze, czy to wykonując naszą pracę zawodową — a przy niej najwięcej o tem myśleć trzeba — czy też sprzątając w domu, czy załatwiając jakąkolwiek inną czynność. Niech ubranie nasze będzie skromne ale czyste, niepoplamione, niech wszystkie rzeczy nale-

---

— Tak... mieliśmy sześcioro.

Zapadła chwila milczenia. Franciszek znowu porównywał, myśląc o swej żonie, ale tym razem ogarnęła go litość i rozrzewnienie.

— Już to Cześkowi przyznać trzeba, że jest wzorowym mężem; każdy grosz mnie oddaje; nie chodzi ani do knajpy, ani na karty; siedzi w domu, obcuje z dziećmi, mają więc do niego zaufanie i on ma wpływ na nie. Gdzie jabym dała sobie radę z Włodkiem, który ma bardzo trudny charakter, gdyby go ojciec odpowiednio nie prowadził. A wasz Piotruś łatwy był do prowadzenia w dzieciństwie?

Franciszek zawahał się chwilę.

— Nie wiem, — odpowiedział wreszcie szczerze, — matka wyłącznie go chowała.

— I wykierowała na porządnego chłopca?

— O bardzo!

— Wielka to jej zasługa.

— Pewnie i w Rzeszowie wszyscy go pokochają.

— To on teraz w Rzeszowie?

— Tak, u wuja księdza.

— Razem z matką?

— Tak.

. . . .

W kilka dni potem Franciszek obudził się rano z dziwnym snem; wydało mu się, że jest w swojem mieszkaniu i że słyszy w przyległym pokoju cichy, stłumiony płacz żony, który niestety tak często rozlegał się w ścianach jego domu. Wytężył słuch; w przyległym pokoju ktoś głosem niezmiernie podobnym do głosu jego żony mówił cicho wśród tłumionych łkań.

— I pomyśleć, pierwszy raz w życiu zachorował ciężko i mnie wtedy nie było!

— Cóż zrobić, kochana pani, taki zbieg okoliczności.

— Szatan, szatan mnie skusił, żebym wtedy odjechała; obowiązkiem moim było pozostawać przy nim. Ale mnie się nie chciało pocierpieć trochę niedostatku, chciało mi się znaleźć w takich warunkach, żeby mi nikt marnego słowa nie powiedział. Ale niech pani mi wierzy, ja nie przez brak sumienia tak zrobiłam, tylko przez głupotę! Ja zawsze byłam za głupia dla Frania, dlatego on nie chciał siedzieć w domu i to było jedyną przyczyną naszego nieszczęścia.

— Bronka! — zawołał w tej chwili Franciszek. — Bronisia!... Dziurluchno!... Żonuś!...

Wszystkie serdeczne zdrobnienia, któremi posługiwał się w pierwszych chwilach obudzonego dla niej uczucia, popłynęły teraz z ust chorego. Bronisława porwała się z miejsca, otworzyła drzwi jak szeroko i podbiegła do łóżka męża, a padłszy przy nim na kolana, płacząc, całowała jego rękę, tę rękę, która tyle razy podnosiła się na nią w prędko tłumionym, niemniej brutalnym gniewie.

— Franuś, przebaczysz ty mi?

— To ja cię o przebaczenie prosić powinienem za te długie lata, które zatrułem ci moją niewyrozumiałością, egoizmem i brutalstwem.

— Ja cię zostawiłam samego na pastwę choroby!

— Bóg tak chciał; doświadczył mnie, abym się nauczył, że szczęście domowe nie jest darem nadprzyrodzonym, ale, że je trzeba zdobywać, kując codziennie z wytrwałością ten delikatny łańcuch, który spaja małżeństwa.

żące do nas znajdują się w porządku, na właściwem miejscu, nie odchodźmy od naszych zajęć, zanim nie usuniemy śladów nieporządku, którego nieraz trudno uniknąć mimo najlepszej chęci.

Zamiłowanie porządku jest zaletą, która nam się stokrotnie opłaca. Wymienię tu tylko kilka korzyści. Mamy najpierw zadowolenie własne z dobrze i porządnie wykonanych czynności; następnie ta nasza zaleta budzi u ludzi szacunek i zaufanie do nas, że powierzoną nam pracę wykonamy porządnie i dokładnie. Porządek przyczynia się także do ułatwienia życia nam i tym, z którymi żyć musimy. W porządnym domu niema bowiem niepotrzebnego szukania porozrzucanych rzeczy, wszystko przygotowane na czas, a co za tem idzie, w rodzinie takiej panuje spokój, zgoda i wzajemna miłość.

A więc, drogie Siostry, bądźmy porządne we wszystkich naszych czynnościach. Szkoda marnować czasu na szukanie rozrzuconych rzeczy, gdy możemy i powinnyśmy utrzymać wszystko w należytym porządku. Przestrzegajmy ładu u siebie i u wszystkich, którzy od nas zależą, a okupimy sobie spokój, zadowolenie i niejedną korzyść w życiu.

Przyjaźń.

Do najściślejszych, najidealniejszych węzłów, łączących ludzi między sobą, należy przyjaźń. Polega ona przedewszystkiem na zupełnem, wzajemnem zaufaniu. Piękny przykład takiej przyjaźni, opartej na bezwzględnem zaufaniu, podaje nam historya starożytna.

Na południu półwyspu Apenińskiego panował w odległych czasach król, ciemiężący okrutnie swój naród. Ażeby kraj wyswobodzić od tyrana, zawiązał się spisek przeciwko niemu, a Damonowi przypadł obowiązek usunięcia tyrana. Zamiar jednakże się nie udał, a Damona uwięziono i skazano na śmierć. Jedną prośbę wyraził jednakże Damon, chciał odwiedzić siostrę swoją i wrócić za trzy dni, ażeby się poddać wyrokowi śmierci. Wzamian za siebie pozostawia w ręku tyrana przez owe trzy dni swego przyjaciela. Gdyby Damon po upływie tego czasu nie wrócił, musiałby zamiast niego przyjaciel ponieść karę śmierci. Tyran ów, któremu wszelkie ludzkie uczucia obce były, który w przyjaźń i poświęcenie nie wierzył, wyśmiał się z Damona i przyjaciela jego. Zgodził się jednak na prośbę Damona, chcąc wykazać, że niema człowieka, któremu możnaby zupełnie zaufać. Był pewien, że Damon nie wróci, że będąc swobodny, pozwoli, żeby przyjaciel umierał za niego.

Dam odwiedziwszy siostrę wraca czemprędzej ku miastu, gdzie po trzech dniach miał się stawić. Tymczasem nieprzewidziane zapory stawiają się w drodze powrotnej. Oto rzeka, przez którą musiał się przeprawić, wezbrała nagle, zarwała most i nie było możliwości przedostania się na drugi brzeg. Zrozpaczony Damon rzuca się z szaloną odwagą w nurty rzeki i prawie nieludzkim wysiłkiem ją przepłynął. Aż oto nowa przeszkoda. Z poblizkiego lasu wypada zgraja zbójców i rzuca się na Damona. Lęk okropny go ogarnia; — cóż się stanie z przyjacielem, jeżeli zbójcy nie przepuszczą go, jeżeli nie zdąży na czas. Trwoga dodaje mu sił. Wyrywa jednemu z zbójców maczugę z ręki i jednem uderzeniem powalił aż trzech na ziemię. Reszta z obawy uciekła.

Damon zbiera wszystkie siły, przyspiesza kroku, ażeby jeszcze przed słońca zachodem stanąć w mieście. Już, już zbliża się do niego, aż tu sługa wybiega naprzeciw niemu, chcąc pana swego wstrzymać, gyż przybywa zapóźno, — przyjaciela właśnie wieszają. Damon jednak nie pozwolił się wstrzymać. Jeżeli przybył za późno, jeżeli nie zdołał ocalić przyjaciela, to zginie razem z nim. Nie pozwoli na tryumf tyrana, któryby mógł ludowi powiedzieć: „Oto patrzcie, tak można wierzyć przyjacielowi, oto zawiódł Damon zaufanie w nim położone, pozwolił, że przyjaciel zginął zamiast niego, niema prawdziwej przyjaźni". Nie, Damon nie pozwoli na to, przyspiesza kroku, ażeby pobiedz do tyrana, oddać się w jego ręce i tem samem zaświadczyć, że nie zawiódł zaufania, że nie mogąc już ocalić przyjaciela, umrze wraz z nim. Przybył na plac, gdzie karano skazanych. Tłumy niezliczone otaczają słup, na którym skazaniec ma zawisnąć. Już założono stryczek na szyję, gdy ktoś śmiertelnym zdjęty strachem, przedziera się przez zbity tłum i krzykiem „stójcie, ja jestem", wstrzymał rękę oprawcy. To Damon zjawia się przed katem, zdążył jeszcze na czas, uratował przyjaciela. Uszczęśliwieni padli sobie w objęcia. Przyjaciel nie zwątpił o Damonie, wierzył, wierzył jeszcze, gdy stał na placu skazańców, wierzył, że Damon, jeżeli w drodze nic się nie stało, przybędzie. I oto nie zawiódł się, dobro święciło tryumf nad złem, przyjaciele mogli królowi pokazać, że istnieje przyjaźń prawdziwa. Tyran spogląda na ten czyn, i nie może uwierzyć. Byłżeli człowiek, któryby mogąc ujść śmierci, wraca, ażeby ocalić przyjaciela? Wielki ten czyn wzruszył nawet jego serce, odezwało się w nim ludzkie uczucie. Zwraca się do przyjaciół z prośbą, aby i jego przyjęli do grona swego. I tak przykład przyjaźni pociągnął swą mocą i czarem nawet tyrana — ocalał Damon, ocalał przyjaciel, a król staje się im podobny, ich przyjacielem.

Coprawda nie codziennie spotykamy podobną przyjaźń, lecz istnieje ona. Usilnem staraniem naszem być powinno, szukać prawdziwej przyjaźni, i pojąć przyjaźń w właściwem jej znaczeniu. Prawdziwa przyjaźń to skarb, który cenić i strzedz powinniśmy. Prawdziwa przyjaźń niech nie polega tylko na częstem obcowaniu ze sobą, na wzajemnem opowiadaniu sobie wszelkich nowości, a co gorsze, często na opowiadaniu złych rzeczy o bliźnich. Nie — głębsze są podstawy prawdziwej przyjaźni. Przedewszystkiem wspólne dążenie ku dobru, ku wszystkiemu, co piękne i szlachetne. W tem dążeniu rywalizować nawet można, i gdy jedna z nas staje się coraz lepszą, to powinna, a nawet musi starać się druga o dorównanie jej. Prawdziwa przyjaźń to nie wzajemna adoracya, nie wyrażanie sobie pochwał i pochlebstw. Gdy tego potrzeba, to przyjaciółka dobra, szczera, nie lęka się skarcić, zwrócić uwagę na to, co niewłaściwe, chociażby druga osoba miała się nawet tem zrazić. Naturalnie wszelkie uwagi winny być uczynione w odpowiedniej formie, łagodnie; winno się odczuć, że tylko życzliwością się kierujemy, a nie chęcią dokuczenia. Lecz tak samo powinno się przyjmować, bez urazy, wszelkie uwagi drugiej strony.

Drogie Siostry, a kiedy najbardziej winnyśmy stać przy tej, którą nazywamy przyjaciółką swą? Wtedy, gdy jej się źle powodzi, wtedy, gdy nieszczęście na nią spada, gdy opuszczają ją wszyscy inni, wtenczas nasze miejsce przy niej.

W nieszczęściu poznajemy prawdziwą przyjaźń. Dopókąd szczęście nas otacza, o jak dużo mianuje się przyjaciółmi naszymi; — lecz gdy życia naszego koleje toczą się drogą nieszczęścia, wten-

czas pozostają przy nas ci, których łączy z nami przyjaźń prawdziwa. To nasi prawdziwi przyjaciele i o takich pięknie powiedział Niemcewicz w Leszku Białym:

„Nad blask co berło udziela, wyżej cenię przyjaciela".

Henryk Sienkiewicz.

Dnia 15. listopada minęła pierwsza rocznica śmierci największego naszego powieściopisarza Henryka Sienkiewicza.

Z powodu tego przedwczesnego zgonu mistrza naszego wszelkie gazety polskie, a także i „Gazeta dla Kobiet" przedstawiały czytelnikom zasługi wielkiego Polaka i miłość jaką obudził powieściami swemi zwłaszcza historycznemi, w sercach prostych nieraz, nieuczonych braci naszych. Gazety nawoływały do pilnego czytania, przedewszystkiem młodzież naszą, książek Sienkiewicza, które jak żadne inne, potrafią wywołać w duszy czytającego obraz dawnej, świetnej przeszłości naszej, ukochać ją serdecznie i postępować śladami przodków naszych.

Mamy nadzieję, że także czytelniczki nasze w tym roku więcej jak w innych latach czytały Sienkiewicza, i dużo z książek tych korzystały.

Poniżej podajemy opis odwiedzin pewnego włościanina, który przeczytawszy wspaniałe powieści historyczne Sienkiewicza, pragnął mistrza tego zobaczyć i podziękować mu za piękne książki, któremi wsławił naród polski w świecie całym.

Sądzimy, że opowiadanie to przeczytają czytelniczki nasze z przyjemnością, a nie mogąc, jak ów włościanin, poznać już osobiście wielkiego pisarza, starać się będą poznać go, czytając dzieła jego i oddać mu tem hołd największy.

Wincenty Stecz, włościanin z Kobiernik, opisuje w „Gazecie Polskiej" pobyt swój u Henryka Sienkiewicza.

Prosiłem jednego pana, żeby mi dał co do przeczytania w święta Bożego Narodzenia (1900 roku). Więc dał mi parę gazet, między innemi była i „Gazeta Polska" wydrukowana na dzień 22 grudnia. Czytałem i zastanawiałem się nad tem, jak tam było ślicznie opisane o panu Henryku Sienkiewiczu. Bom się doczytał z tej gazetki, gdzie się pan Sienkiewicz rodził, i gdzie teraz obecnie mieszka. I doczytałem się o jubileuszu, który miał nastąpić na drugi dzień. I doczytałem się, że pan Sienkiewicz się rządzi z ukochaną córeczką Jadwigą i z babcią tejże panny Jadwigi, a swoją teściową, że ma także przy sobie lokaja, któremu na imię Paweł.

Więc ja rolnik, siedząc na tych paru morgach ziemi, i wiedząc od paru lat jakem przeczytał książki „Ogniem i mieczem" i „Potop" rozważałem nadtem, jak to ślicznie opisane. Taka mnie chęć wzięła, żeby zobaczyć pana Sienkiewicza na własne oczy. Ale zastanawiam się nad tem, jakimby tu sposobem można. Otóż zebrałem od swoich sąsiadów na wieżę Częstochowską 21 rubli i postanowiłem to oddać do redakcyi „Gazety Świątecznej".

Poprosiłem żony, żeby mi pozwoliła jechać do Warszawy. Żona mi pozwoliła, ale żeby się prędko wracać. Wybrałem się więc jechać... I przyjechaliśmy do Warszawy mniejwięcej o godzinie drugiej po południu. Na Muranowie wszedłem w tramwaj i przyjechałem do redakcyi „Gazety Świątecznej"... Oddałem pieniądze na wieżę Częstochowską i powiedziałem, że mam chęć pójść do pana Sienkiewicza. Jedna pani tak uwagę na mnie zwróciła, widząc chłopa w kożuszynie i zastanowiła się nadtem, poco on tam pójdzie. Poszedłem i trafiłem... A miałem z sobą prezencik, bułkę chleba razowego, która ważyła 34 funty.

Stanąłem przed drzwiami i myślę sobie, jak tu wejść do tak wielkiego pana, ja rolnik, który nawet pisać nie umiem. No, ale trudno! Gorąco mi się zrobiło, postałem z pięć minut na korytarzu, przytknąłem palec do takiego guziczka, co jest w ścianie, wychodzi lokaj, pan Paweł, i pytam się! „proszę pana, czy tu mieszka pan Sienkiewicz?" A on mi odpowiedział: „tu". Pytam się czy możnaby się zobaczyć z panem Sienkiewiczem, a on mi odpowiedział ‚że nie, bo pan wyszedł i nie powróci. A ja mówię: „mój Boże, miałem chęć zobaczyć pana Sienkiewicza, a jestem z daleka, z pod Sandomierza".

Roześmiał się, „a no, pójdę i zapytam się panienki, czy pan nie powróci". Tak powiada Paweł; poszedł i powraca napowrót uśmiechnięty i powiada: proszę, jest pan Sienkiewicz, tylko ja mam powiadomić, żeby nie zawsze puszczać, bo się bardzo dużo osób naprzyksza!"

No to już idę. Serce we mnie zadygotało, jeszcze mi się cieplej zrobiło; idę przez jedną salę, wchodzę do drugiej; patrzę, pan Sienkiewicz siedzi przy biurku, podniósł się i podchodzi bliżej mnie a ja mówię: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". — „Na wieki wieków, amen" — odrzekł pan Sienkiewicz. Zacząłem mówić temi słowy: „Drogi mistrzu!" Jestem rolnikiem z pod Sandomierza, tam, gdzie rzeka San do Wisły domierza, tam się nam rodzi żytko, owies, jęczmień i pszenica, a po skończonej pracy czytamy sobie powieść pana Sienkiewicza. Drogi mistrzu! Nie czytam pism obszernych i nie wiedziałem o Twoim jubileuszu. I dowiedziałem się teraz zapóźno. Miałem chęć zobaczyć cię na własne oczy. Otóż Pan Bóg mi pozwolił, że cię widzę. Cóż ci mam powiedzieć, ja, biedny rolnik, nieuczony, ale czytam książki twoje „Ogniem i mieczem" i „Potop"; jakże ci mam za tę pracę podziękować i życzyć. Życzę Ci, żebyś doczekał w życiu swojem stuletniego jubileuszu. Żebyś z tej córeczki, Jadwigi, którą kochasz, doczekał się prawnuków i wnuków. A więcej cóż ci mam powiedzieć, drogi mistrzu? Otóż powiem ci, że się cieszymy, żeś i ty został współobywatelem ziemskim, bo my rolnicy, tę ziemię kochamy. Cóż za prezent ja, rolnik, miałem ci przywieść? Serce mam najdroższe, lecz wyjąć go nie mogę, a po sercu mam chleb, który mi Bóg Wszechmocny dał. Bądź łaskaw przyjąć tę bułkę chleba odemnie i pracuj nam, jak dotąd pracowałeś, w błogosławieństwie Bożem".

A pan Sienkiewicz wziął mnie spracowanemi rękoma, uściskał głowę i pocałował mnie. Wziął chleb odemnie, położył na stole i mówi: „widzisz przyjacielu, że nie cieszy mnie tyle majątek, co mnie cieszy to, że moja praca bez pożytku nie jest, że moja praca trafiła do Was pod strzechę, to mnie cieszy, to mnie raduje!"

Później poszedł do stołu i wziął kulę żelazną, przepasaną złotą prążką i mówi: „to jest pamiątka, co mi przysłali z Częstochowy". I pokazał mi rozmaite miecze, wiszące na ścianie. Później poszedł pan Sienkiewicz do szafy i wziął książki, takie duże, w ślicznej oprawie i każdą rozłożył: „widzisz, kiej ty nie jesteś uczony, to ci powiem, że te litery są angielskie"; później rozłożył drugą książkę i mówi: „to są francuskie". Później o jednej książce mówi pan Sienkiewicz: „to są litery podobne do żydowskich, to są ormiańskie" i t. d. Wszystko to były utwory Sienkiewicza, przetłomaczone na obce mowy. Potem pan Sienkiewicz wziął fotografię swoją ze stołu, podpisał się na niej i dał mi na pamiątkę. Później dał mi bilecik, żeby pójść do księgarni Gebethnera i Wolffa. „Tam ci wydadzą ośm książek „Krzyżaków". — Kazał pan Sienkiewicz panu Pawłowi, aby zawołał dorożki, abym pojechał do księgarni. Ucałowałem ręce panu Sienkiewiczowi i pojechałem; pędziłem przez parę ulic, jak jaki pan, pierwszy raz w takiem dogodnem siedzeniu.

Nie umiem wytłumaczyć, jak rozradowane było moje serce, żem mógł ja, nieuczony i biedny rolnik, rozmawiać z panem Sienkiewiczem.

GŁOSY CZYTELNICZEK.

Śladem św. Wincentego à Paulo.

Ziarno, rzucone ręką św. Jałmużnika w ziemię francuską, rozrosło się w wspaniałe drzewo, którego potężne konary sięgały także ziemi polskiej. Znam nawet bardzo silną gałęź tego cudownego drzewa miłosierdzia, ukrytą w cichej wiosce wielkopolskiej, Władysławowie. Mając tam krewnych byłam świadkiem, co zdziałać może jednostka, zagrzana miłością bliźniego. Było to w r. 1907. Zaraza rozszalała nad ową wioską: w każdej rodzinie leżało po kilkoro dzieci, dusząc się z powodu dyfteryi i szkarlatyny, a najbliższy lekarz mieszkał w miasteczku, oddalonem o 2 mile od Władysławowa. Znikąd innej nie było pomocy, więc proboszcz miejscowy, kapłan gorliwy, kochający i dbały o dobro owieczek swoich, zabrał się z zapałem do dzieła. Już o godz. 9, po odprawionej Mszy św., siadał na wózek, którym powoziła dziewczynka, jego siostrzenica, i objeżdżał całą wioskę — tu pocieszając, tam ucząc jak się obchodzić z chorymi, a otucha wstępowała do serc mieszkańców, bo choć początkowo po 7—8 trumienek prowadził zacny proboszcz na cmentarz, nie ustawał w swej pracy.

Gdy mu zwrócono uwagę, że ukochaną swą siostrzeniczkę naraża na zarażenie, odpowiedział z uśmiechem „toć choroba nie ima się tego, kto jej się nie obawia". I wstępowali od chaty do chaty, a w spiżarni proboszczowskiej coraz większe panowały pustki. „Będzie na przyszły rok nowy zbiór", mawiał do swego otoczenia.

Na organistówce 4 chorych ratować było trzeba i pięcioletni chłopczyk ogłuchł po szkarlatynie, dziewczynka zaniemówiła, a dwuletni Kazio chce lekarstwo „tylko od doblego księdzia plobościa". A tu jeszcze matkę zrozpaczoną trzeba pocieszyć i dodawać jej otuchy.

Tam znów inna matka, z błyszczącemi gorączką i wypłakanemi oczyma, pokazuje swoją pieszczotkę, która nie popatrzy już swemi niebieskiemi oczętami na świat Boży. — „Wczoraj jeszczem ją miała, a dziś —" szepce zrozpaczona. „A dziś... no to musicie dołożyć wszystkich sił, żeby tych troje pielęgnować i ratować", mówi kapłan, wskazując tam, gdzie pod ścianą zawieszoną obrazkami Ukrzyżowanego Zbawiciela i Świętych Pańskich, leżą trawione gorączką starsze dzieci.

„Mamo pić — nie wody, soku" — prosi chłopczyk. „Nie mam synku". W tem z płaszcza, którego duże, wypakowane kieszenie zakrywała długa peleryna, wyjmuje ksiądz proboszcz butelkę soku malinowego, mówiąc: „Nie szczędźcie, to na dziś" — czyli innemi słowy — jutro będzie inna rada.

W innem domu leży czworo chorych dzieci, a równocześnie dał Bóg jeszcze dwie małe dzieciny, sąsiadki więc z upragnieniem oczekują przybycia proboszcza, bo tam na stole leży telegram, że w Westfalii, przy dobrze płatnej, ale niebezpiecznej pracy zarwało się rusztowanie i żywiciel tej rodziny zabity. Oj, trudne to zadanie pogodzić chorą z tem nieszczęściem, pozostawiono je więc księdzu proboszczowi. On kazał nam wyjść wszystkim, boć boleść taka chce samotności. Co mówił, jak pocieszał nieszczęśliwą wdowę nie wiemy, ale gdyśmy wróciły do izby, chora uśmiechnęła się słabo i kazała podać sobie do uściskania te, „które teraz za siebie i za niego kochać muszę"...

I kapłan zacny się uśmiechnął, jakby chciał rzec: „teraz już żyć będzie" i szedł dalej, gdzie jedynak czekał na obiecany wczoraj obrazek i bat. — „Całą noc majaczył, że ma bat, mówiła matka, czy jeno Jegomość nie zapomnieli".

„Stasiu, daj małemu zabawki, zwrócił się ksiądz do siostrzenicy — co? cieszy się, no to da Bóg, wkrótce biegać będzie." — W każdym domu postępował podobnie, a zaraza tymczasem ustępowała po maleńku, przy troskliwej pielęgnacyi i czystości wzorowej. A i później chory każdy i potrzebujący zwracał się z ufnością do ukochanego, czczonego proboszcza wioski Władysławowa.

Julia.

Praktyczne rady dla zdrowia.

Pielęgnowanie chorych. Jeżeli kto w domu zachoruje, wtenczas trzeba o tem niezwłocznie zawiadomić lekarza. Trzeba poprosić go równocześnie o pouczenie, co chory powinien pożywać i na co podczas pielęgnacyi szczególnie należy zwracać uwagę a także zastosować się ściśle do jego przepisów. Mianowicie lekarstwo należy choremu podawać punktualnie, starać się zataić przed nim wszystko, coby go mogło zasmucić lub niepokoić. Siadać trzeba zwykle tak, ażeby chory mógł nas widzieć, lecz nie zajmujmy nigdy miejsca na krawędzi łóżka; w obecności chorego nie rozmawiajmy nigdy zbyt głośno, ani też niech nikt w tym samym pokoju nie szepce z drugimi. Trzeba znosić cierpliwie małe usterki chorego i zastosować się ściśle do jego życzeń. Rekonwalescentów czyli wracających do zdrowia trzeba szczególnie dobrze odżywiać, ażeby odzyskali utracone siły. Potrawy przyrządzone dla chorych winny być łatwo strawne. Posłanie chorego koniecznie musi być czyste, jako też często przewietrzane, a zarazem powłóczone świeżą bielizną. Ubiory nie powinny wisieć na ścianach, a nadto wypada z pokoju chorego pousuwać wszelkie niepotrzebne przedmioty, tamujące zarówno napływ powietrza jako też światła. Wszędzie powinien panować porządek i spokój; nigdy nie należy wstrzymywać dostępu światłu słonecznemu. Gości przykrych nie można wpuszczać do pokoju chorego. W miarę troskliwej opieki postępuje też zwykle wyzdrowienie chorego.

Odżywianie chorych. Pożywienie chorych jest zazwyczaj połączone z wielkiemi uciążliwościami, ponieważ wymagania ich pod wpływem choroby zazwyczaj się zmieniają a zarazem nie podobna od organów spożywczych u osób chorych wymagać tej samej odporności, co u zdrowych osób. Jako pierwszą regułę zasadniczą należy przeto uważać, ażeby się nigdy nie działało przeciw rozporządzeniu lekarza lub też poza jego plecami. Przyrządzanie potraw dla chorych wymaga jak najskrupulatniejszej czystości. Potraw nieczystych lub nadpsutych nie godzi się chorym podawać, nadto wypada nadmienić, że resztki potraw nie służą zdrowiu chorego. Dalszą regułą zasadniczą w odżywianiu chorych jest punktualność. W ciągu choroby panuje bowiem w organiźmie ludzkim pewien niepokój, który regularnem podawaniem potraw trzeba się starać o ile możności przytłumić. Pokarm należy choremu podawać także z sposób mu przyjemny. Pożywanie potraw powinno się choremu o ile możności ułatwiać. W tym celu trzeba głowę chorego i górną część tułowia nieco wznieść w górę. Jeżeli chora osoba z przeznaczonych dlań potraw coś pozostawi, wtenczas resztki trzeba natychmiast usunąć. Częste przewietrzanie pokoju, w którym chory przebywa, działa korzystnie na zmaganie się apetytu. Smaczne przyrządzanie potraw każdemu choremu przypada do gustu jako też niejednokrotnie przyczynia się do wzbudzenia brakującego apetytu.

Sprawy Związku i Stowarzyszeń.

Z ruchu Stowarzyszeń.

Stowarzyszenie Pracownic parafii jeżyckiej.

Dnia 7 października o godz. ½5-ej przy licznym udziale członkiń oraz gości odbyło się zebranie prac. par. Jeżyckiej w ochronce, połączone z uroczystością setnej rocznicy zgonu Tadeusza Kościuszki. W pięknie w zieleń i kwiaty udekorowanej sali rozpoczęto uroczyste zebranie pieśnią „Nie opuszczaj nas". Poczem w krótkich słowach streścił ks. wicepatron dzisiejsze zebranie, zaznaczając, iż poświęcone jest pamięci i czci Kościuszki, największego bohatera narodowego. Po odbytem krótkiem zebraniu zwykłem przystąpiono do uroczystości, którą rozpoczął chór Stow. pod batutą p. Wojciechowskiego „Polonezem Kościuszki", Deklamacyę „Rok Wielki" wygłosiła p. Skowrońska, „Ku czci Kościuszki" p. Pawlakówna. Wykład o Kościuszce, jego życiu i czynach szlachetnych, oraz o smutnych losach naszej ukochanej Ojczyzny wypowiedział ks. wicepatron. Po obszernym i wyczerpującym wykładzie Kółko śpiewackie zaśpiewało „Śpiew Krakusów" oraz wiele innych, które przeplatano pięknemi deklamacyami n. p. „Pogrzeb Kościuszki", „Racławice", „Przysięgę Kościuszki" i „Strofy", wypowiedziane z przejęciem przez stowarzyszone Szymańską, Robacką i Kaliszanównę. Pod koniec odegrano piękny obrazek sceniczny pod tytułem „W setną rocznicę" napisany przez znaną nam autorkę Paulę Wężykównę. Amatorki wywiązały się doskonale ze swych ról, to też zadowoleni goście i stow. podziękowali długimi oklaskami. Poczem hymnem narodowym „Boże coś Polskę" zakończono uroczyste zebranie".

Sekretarka.

Stowarzyszenie Kobiet pracujących w Bolechowie.

Dnia 28 października, zamiast zwykłego zebrania, odbyła się wieczornica, dla uczczenia setnej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki. Obraz przedstawiający Kościuszkę, przybrany był w zieleń i narodowe chorągiewki. Wieczornica składała się z dwóch części.

Pierwsza część była poświęcona pamięci naszego bohatera i rozpoczęła się ślicznym prologiem Wilkanowicza, wygłoszonym przez p. Emilią Szułdrzyńską. Następnie p. Ruszczyńska z Poznania przedstawiła zgromadzonym w podniosłych słowach życie i czyny Tadeusza Kościuszki, a przemówienia tego wielcy i mali słuchali z prawdziwem zainteresowaniem. Deklamacye i pieśni chórowe o Kościuszce, wykonane przez córki i synów stowarzyszonych, pozyskały ogólne uznanie. Na zakończenie przedstawiła młodzież wiejska obrazek sceniczny z „Gazety dla Kobiet" pod tytułem „W setną rocznicę"; wszyscy swoje role dobrze odegrali.

Między przerwą a drugą częścią wieczornicy zbierano składkę na głodnych.

Druga część wieczornicy przeznaczoną była „ku nauce i rozrywce". Wypełniły ją dwa monologi z „Gazety dla Kobiet" „Ach, te plotki" i „Pani Gosposia"; wesoła fraszka sceniczna „Jak Kuba oduczył Kasię lenistwa" (Chociszewskiego) i obrazek dramatyczny „Pod opieką Anioła Stróża", zakończony żywym obrazem, przedstawiającym Anioła Stróża, u stóp którego młode dziewczęta dziękują za doznaną opiekę w pokusach życia.

Cała wieczornica wypadła dobrze, wszyscy zgromadzeni okazywali zadowolenie; podniesieni na duchu i rozweseleni wracali do domów swoich. — Z powodu braku miejsca powtórzono raz jeszcze program składający wieczornicę w następną niedzielę — wobec licznie zgromadzonych gości. Zebrana składka na dwóch wieczorach wyniosła 60 mk., które przekazane zostały do kasy Komitetu Arcybiskupiego niesienia pomocy w Królestwie.

Franciszka Florczak, sekretarka.

Stowarzyszenie Kobiet Pracujących w Ostrzeszowie.

Dnai 21 listopada o godz. 3½ po południu na małej salce „Strzechy„ odbyło się zebranie kobiet z miasta a także i ze wsi.

Zebranie zagaił Ks. Kledzik, oddając głos Jeneralnemu Sekretarzowi Związku Stowarzyszeń Kobiet Pracujących X. Prob. Schulzowi z Poznania. Szanowny Prelegent w zajmującym i treściwym wykładzie wytłumaczył nam cele i zadania Stowarzyszenia kobiet pracujących, oraz jakie korzyści przynosi swym członkom.

Na zapytanie Ks. Kledzika, czy zebrane uznawają potrzebę założenia Stowarzyszenia Kobiet pracujących w naszym mieście, odpowiedziano jednogłośnie potwierdzająco.

Do Zarządu wybrano następujące panie: Janina Wodniakowska, przewodnicząca, M. Łebska, jej zastępczyni, Miecz. Urbańska, sekretarka, Fl. Pfafen, zastępczyni, Seweryna Balcerkówna skarbniczka, M. Pustkowska zastępczyni.

Składkę miesięczną uchwalono 35 fen. miesięcznie.

Posiedzenia będą się odbywać w każdą czwartą niedzielę miesiąca. Pierwsze zebranie odbędzie się dnia 2 grudnia. Na wniosek ks. sekretarza przybrało nasze Stowarzyszenie kobiet pracujących nazwę „Jedność". Na członków zgłosiło się 146 kobiet. Ks. Kledzik zamykając posiedzenie, podziękował ks. Schulzowi za przybycie i za pomoc w założeniu towarzystwa, któremu życzyć należy pomyślnego rozwoju, ażeby w przyszłości jak największą ilość kobiet z miasta i okolicy zjednoczyło w swych szeregach.

Stowarzyszenie kobiet pracujących w Chodzieży.

Nadzwyczajne zebranie walne odbyło się w niedzielę dnia 25 listopada o godz. 3-ej r. b. Zebranie zagaił w obecności 300 członkiń Ks. patron Czechowski; powitał w serdecznych słowach sekretarza jeneralnego Związku kobiet pracujących ks. Schulza, który wygłosił obszerny wykład na temat: „Jakie korzyści daje kobietom pracującym stowarzyszenie".

Stowarzyszenie daje kobietom prawdę czyli oświatę, zaprawia serca do czynów szlachetnych i daje im chleb czyli pomoc w pracy. Mówiąc następnie o korzyściach związku przekonał stowarzyszone, że powinny przystąpić do związku kobiet pracujących. Stowarzyszenie nasze, założone w roku 1912 przystąpiło jednogłośnie po 5 latach istnienia do związku; zobowiązuje się abonować „Gazetę dla Kobiet" i płacić rocznie od członka 10 fenygów do związku. Ks. patron podziękował ks. sekretarzowi jeneralnemu za słowa zachęty i nauki; na zakończenie zaśpiewano kilka wesołych piosenek.

Sekretarka.

Czcionkami i drukiem Drukarni i Księgarni św. Wojciecha G. m. b. H. w Poznaniu.